

PRÓG 4

Powrót Znikąd

Istnieją podróże, które zaczynają się od wyjazdu.

I inne, które zaczynają się od straty.

Ta należy do drugiej kategorii.

Przez długi czas wierzyłem, że powrót jest kwestią geograficzną.

Opuścić jakieś miejsce.

Pokonać dystans.

Wrócić do punktu wyjścia.

To była prosta definicja.

Wygodna.

A także błędna.

Z biegiem lat odkryłem, że niektóre powroty nie prowadzą do żadnego widocznego miejsca.

Bo miejsce, do którego trzeba dotrzeć, już nie istnieje.

Albo nigdy nie istniało.

Albo zmieniliśmy się zbyt bardzo, by móc je rozpoznać.

A jednak potrzeba powrotu pozostaje.

To jedna z najgłębszych tęsknot istoty ludzkiej.

Chcemy wrócić do czasu, gdy rzeczy
wydawały się prostsze.

Jaśniejsze.

Bardziej uporządkowane.

Chcemy wrócić do ludzi, których straciliśmy.

Do straconych okazji.

Do niepodjętych decyzji.

Do chwil, w których życie wydawało się
jeszcze otwarte na wszystkie możliwości.

Ale czas niczego nie zwraca.

To nie jest jego rzemiosło.

Czas przekształca.

Nigdy nie zwraca.

Były lata, w których goniłem za niemożliwymi
powrotami.

Robiłem to, nie zdając sobie z tego sprawy.

Próbowałem odzyskać wcześniejsze wersje
samego siebie.

Młodzieńca.

Profesjonalistę.

Syna.

Człowieka przekonanego, że wie, dokąd
zmierza.

Każda próba kończyła się tak samo.

Rozczarowaniem.

Bo tamta osoba już nie istniała.

I tak było słusznie.

Pewnego ranka zrozumiałem rzecz, która
zmieniła mój sposób patrzenia na przeszłość.

Nie pragnąłem naprawdę wrócić.

Pragnąłem odzyskać pewne uczucie.

Pewność.

Zażyłość.

Wersję świata, w której pytań zdawało się być
mniej niż odpowiedzi.

Ale życie nie oferuje podróży w czasie.

Oferuje tylko przemiany.

Wtedy właśnie zacząłem patrzeć na powrót
inaczej.

Nie jak ruch ku temu, kim byłem.

Ale jak zbliżanie się do tego, kim się stałem.

Różnica jest ogromna.

Kiedy próbujemy wrócić, walczymy przeciwko
czasowi.

Kiedy godzimy się iść naprzód, w końcu
zaczynamy go rozumieć.

Wielu ludzi spędza życie, szukając domu.

Myślą, że to miejsce.

Miasto.

Ulica.

Naród.

Potem przychodzi dzień, w którym odkrywają,
że dom jest stanem duszy.

I że żadna współrzędna geograficzna nie może
go zagwarantować.

W ciągu mojego życia przemierzyłem wiele
krajów.

Wiele kultur.

Wiele języków.

Za każdym razem coś zostawiałem.

Za każdym razem zbierałem coś innego.

Nie zdając sobie z tego sprawy, stawałem się
żywym archiwum doświadczeń.

Mozaiką złożoną z różnych miejsc.

W pewnym momencie przestałem pytać
siebie:

„Gdzie przynależę?”

I zacząłem pytać siebie:

„Co niosę ze sobą?”

Drugie pytanie było o wiele bardziej
użyteczne.

Bo przynależności się zmieniają.

Granice się zmieniają.

Mapy się zmieniają.

To, co nosimy w środku, natomiast wciąż podróżuje.

Pamiętam pewne noce, w których poczucie zagubienia było silniejsze niż zwykle.

Noce, w których wszystko wydawało się odległe.

Ludzie.

Miejsca.

Pewności.

Nawet ja sam.

W tych chwilach wyłaniała się najstarsza pokusa.

Wrócić.

Unieważnić.

Przywrócić.

Zacząć od wcześniejszego punktu.

Ale za każdym razem rzeczywistość pokazywała mi tę samą prawdę.

Nie istnieje wcześniejszy punkt.

Istnieje tylko punkt obecny.

I wybór, co z nim zrobić.

Z czasem nauczyłem się traktować przeszłość
nie jak cel, lecz jak bibliotekę.

Miejsce, które się odwiedza.

Nie w którym się mieszka.

Bo kto żyje w przeszłości, powoli przestaje
zamieszkiwać teraźniejszość.

A bez teraźniejszości nie istnieje przyszłość.

Ludzie, których kochałem.

Miasta, które przemierzyłem.

Okazje, które straciłem.

Sukcesy.

Porażki.

Wszystko wciąż istniało.

Ale w innej formie.

Jak strony już napisane.

Do ponownego przeczytania.

Nie do przepisania.

To było wyzwolenie.

Bo w końcu przestałem szukać tego, czego nie
można było odzyskać.

I zacząłem inwestować energię w to, co
jeszcze można było zbudować.

Paradoksalnie to właśnie w tamtej chwili
przeszłość przestała mnie prześladować.

Kiedy przestałem traktować ją jak cel.

Coś podobnego stało się z ludźmi.

Wielu odeszło z mojego życia.

Niektórzy z wyboru.

Inni z konieczności.

Jeszcze inni przez zwykłą pracę czasu.

Na początku odczytywałem te nieobecności
jako straty.

Potem zrozumiałem, że niektóre obecności
wciąż istniały na różne sposoby.

W pozostawionych lekcjach.

We wspomnieniach.

W zachowaniach.

W decyzjach, które wciąż na mnie wpływały.

To także był powrót.

Nie ludzi.

Ich znaczenia.

Może dojrzałość polega właśnie na tym.

Zrozumieć, że nic nie powraca w pierwotnej
formie.

Ale niemal wszystko może dalej żyć w nowej
formie.

W końcu przestałem szukać drogi powrotu.

Bo zrozumiałem coś, czego nigdy nie pokazała
żadna mapa.

Nie wracałem znikąd.

Przybywałem.

Przybywając do wersji samego siebie
zbudowanej ze wszystkich wyjazdów,
wszystkich strat, wszystkich spotkań i
wszystkich przemian.

I wtedy właśnie paradoks się rozwiązał.

Powrót, którego szukałem przez lata, nie
prowadził do przeszłości.

Prowadził do mnie.

Dlatego tytuł tego progu jest trafny.

Nie dlatego, że nie istniał cel.

Ale dlatego, że cel nie miał adresu.

Było to miejsce bez geografii.

Bez granic.

Bez współrzędnych.

Miejsce, które przemierzałem przez całe życie,
nie rozpoznając go.

Powrót znikąd.

Powrót ku temu, kim się stałem.